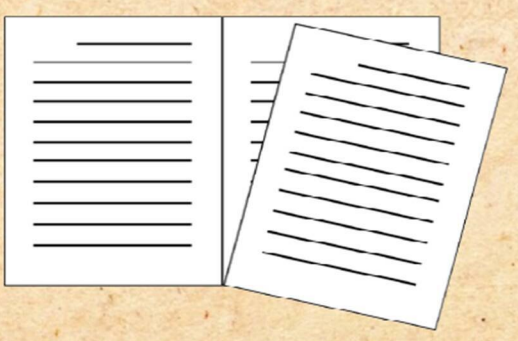
Jf dubl. 1950 d. 1641

Für die
PROVINZ POSEN.

VI B 225

Jedności!

POZNAŃ.
Drukiem i w komisie J. Leitgebra.
1882.



W woluminie kolejno współoprawne sygnatury:

odręczny spis treści

261537 II

261538 II

261539 II

261540 II

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU
261540
261537
Wypożycza się tylko do czytelni

IV E 54



VI B 225.

Inhalt

1. Obawy i nadzieje. Poznań 1861.
2. Quousque tandem! Lwów 1877.
3. Jedności! Poznań 1882.
4. Majestätsbeleidigungen. Wien 1902. Leipzig.

BIBLIOTHEK-GESELLSCHAFT
für die
PROVINZ POSEN.

VI B 225.

3

Jednośći!

261539 II

ff dubl. 1950 d. 1641

für die
PROVINZ POSEN.

VI B 225

Jedności!

POZNAŃ.
Drukiem i w komisie J. Leitgebra.
1882.

261539 II

BIBLIOT. UNIWERSYT. W POZNANIU

I.

Przebrzmiał gwar ostatnich wieców przedwyborczych, ucichły hasła któremi się nawoływali stronnicy różnych obozów ubiegających się różnemi sposobami o lepsze; postawienie ostatniego kandydata na sejm położyło gorączce koniec i wszystko wróciło w dawne tory. Lecz nikt zapewne nie może się obronić ogólnemu niesmakowi, który nas wszystkich po tej robocie ogarnął; widziemy jasno, że obecny ten spokojny niby stan, to ostygła skorupa lawy pod którą wrą groźnie sprzeczne żywioły; mniejsza o to czy te lub owe zapatrywania osięgły jaki tryumf lub klęskę, nikt nie myśli tryumfować, bo każdy czuje, że interes ogólny, że cel wspólny marnieje. Widzieliśmy jak małe powody, które dopiero pośrednio nas dotykają, zupełnie wystarczyły aby nas pozbawić równowagi, jak wybuchłe prądy dążności i wyobrażeń przeciwnych o siebie uderzyły z zawziętością przestraszającą, i każdy się pyta, co to będzie, jeźli przyjdzie chwila, gdzie naród będzie miał wypowiedzieć swoje słowo mające decydować o życiu lub śmierci! A dalej, czy społeczeństwo nasze pod względem swego stanu moralnego i intellektualnego przedstawia godny obraz narodu znajdującego się w ścisłem oblężeniu, zmuszonego z rozpaczliwem wysileniem odbijać szturmy na swe istnienie, a w reszcie, czy się znajduje na tej wysokości, aby być w stanie należycie przyjąć i podnieść wypadki, jeśli Bóg je zesłać raczy, zapowiadające nam lepsze losy.

Popatrzmy tylko po sobie, bo odpowiedź sama z siebie się nasuwa.

Nie! nie tak powinna wyglądać załoga twierdzy chcącej się bronić do upadłego, nie tak wrogie sobie obozy powinno tworzyć społeczeństwo czujące się powołanem wznieść się kiedyś całą siłą, a zatem w ścisłem zjednoczeniu, w tory, które mu Bóg za pomocą instynktu narodowego ukazać raczy.

Stare to są grzechy i stare skargi które tu na wierzch wychodzą, lecz jeźli kiedy, to teraz wszyscy czuć powinniśmy, że się muszą one zmienić na lepsze, jeźli kiedy odrodzenie nasze ma nastąpić, i — powiedzmy prawdę — jeźli się mamy pokazać godnymi zmartwychwstania. Zgoda jest zatem celem do którego winniśmy skierować nasze wysiłenia, bo bez zgody nie masz jedności, a bez niej zkąd brać sił do obrony naszego bytu, jak stanąć w obec wypadków mogących nas znów powołać na widownię dziejów? Bo aby to powołanie było możebnem, wypadki te muszą nas zastać zbitych w jednę massę jednolitą, na której się mogą oprzeć ci, co się staną kierownikami losu ludów i którą mogą wciągnąć jako żywy czynnik w stosunki narodów pomiędzy sobą. Rozbici w puch, ani tych warunków nie wypełniamy, ani też stajemy się światu potrzebni; — cóż mu po takim narodzie, który nie przedstawia żadnej wybitnej myśli ani kierunku, gdzie tylko jednostki niezdolne do żadnej spojni, wzajem się odpychające! Jeźliby miało być tak, to byłby to dla nas zasłużony wyrok śmierci, od którego nic nas nie wybawi, bo egzystencya nasza nie miałaby racyi bytu.

Jeżeli jednak kroku ku lepszemu próbować mamy, a jest to święty obowiązek dla każdej nowej generacyi, musimy się przypatrzyć naturze niezgody nasze społeczeństwo toczącej, zbadać jej zarodek i obmyślać przeciw niej środki.

II.

Idea czyniąca obecnie główny przedział w naszem społeczeństwie i tworząca w niem dwa przeciwne obozy,

jest ta sama, która dziś nurtując umysły ludów Europy sprawia u nich ciągłe przewroty i ostatecznie ogólnym im kataklizmem zagraża, jest to kwestya religijna. Jest ona obecnie osią, około której obracają się wszystkie kwestye nie tylko już socyalne, ale i polityczne; wszak to głównie wrogie wszelkiej objawionej religii a przedewszystkiem kościołowi katolickiemu elementa poprzewracały stary porządek rzeczy we Włoszech i Francyi, a próbują to samo czynić i w Hiszpanii, wszak i dziś w tych krajach rządy i pojedyńczy ministrowie, chcąc przedłużyć czas swego istnienia, jeden tylko mają kęs, który rzucając swym przeciwnikom na pastwę, liczyć mogą na to, że przynajmniej na jakiś czas znów sobie okupią spokój, a tym kęsem jest Kościół. Istotnie umilkną też wtenczas tłumy wiedzione tym nienawistnym duchem niewiary na czas niejakiś, bo się choć w części zadość stało ich głodnemu pragnieniu, ale po chwili znów krzyczą: „Crucifige eum“ i znów nową ofiarę sobie porzuconą rozszarpują. Nawet potężny kanclerz Niemiec czy nie w tem samem był i jest położeniu? czyż kulturkampf pruski nie jest także tylko takim kęsem, rzuconym wprawdzie nie w chęci wyżebrania sobie łaski, bo ks. kanclerz jest za potężny, a liberalne stronnictwa niezdolne czynu, ale tyle wszyscy widzimy, że właśnie kulturkampf stał się ponętą i zapłatą aby przywabić, zadowolnić i przywiązać do rządu cement liberalny na który są sadzone bryły, z których zjednoczone Niemcy zbudowano. Byleby walka religijna trwała, stronnictwa liberalne wszystko są w stanie poświęcić zacząwszy od samych zasad liberalnych, gdyby ją zakończono, powstałby między rządem a liberalizmem rozbrat, i to na zawsze. Bo widzimy w dziejach ludzkości, że jak miłość wiary jest miłością nad wszystkie miłości, która po wszystkie czasy podniecała narody i pojedyńcze indywidua do czynów zapełniających najszczytniejsze karty historyi, tak nienawiść religii jest nienawiścią nad wszystkie nienawiści,— nikną przed nią w duszy człowieka wszystkie przekonania, sympatye i przyjaźnie, bo ona nic obok siebie ścierpieć nie zdoła. Łączą się w jej imieniu ludzie najróżno-

rodniejszych kierunków i przekonań, poświęcając inne zapatrywania i dążności swoje, bo te schodzą teraz na miejsce drugorzędne. Dziełem jej mogłyby tylko być ruiny, bo każda nienawiść nic stworzyć nie jest w stanie.

Patrząc wszakże na to co się obecnie dzieje w ludach, możemy tylko kornie schylać czoła przed wyrokami Opatrzności, bo wiemy, że Ona wszystko ku dobremu końcowi prowadzi. Ludy które dziś rzucają się jak w konwulsyach, to są pracowniki dla przyszłości, z ich mąk i krwi wyniknie niezawodnie korzyść dla przyszłych pokoleń; — miejmy zatem dla nich jak najżyczliwsze serca, bo oni i dla nas cierpią męki Prometeusza.

Lecz całkiem inne ma znaczenie u nas kwestya religijna, całkiem też inny jest początek niezgody na tem polu pomiędzy nami. Od nas ludzkość nie ma prawa spodziewać się lub wymagać przesileń wstrząsających społeczeństwo aż do dna aby jakąś zbawczą myśl dla ludzkości porodzić, bośmy pozbawieni samodzielności, bo nas skazano na wymarcie, bo wszystkie nasze wysilenia jeden tylko powinny mieć cel, to jest bronienia do ostatniego tchu, a jak najdłużej naszego istnienia. A może właśnie ta walka o nasz byt tak ciężka, tak nierówna, ma nam być policzoną za pracę podjętą nie tylko dla nas, ale dla całej ludzkości. Jakież to wielkie świadectwo położylibyśmy Bogu i Prawdzie, gdybyśmy z niej o tak nierównych siłach, mając tylko ową Prawdę za sobą, wyszli zwycięzko.

Rzecz jasna, że u nas przewroty ze stanowiska ogólnego, Europejskiego, nie mają racyi bytu, a ze stanowiska narodowego byłyby ciężkim nieszczęściem. Myśmy nie byli tak demoralizowani przez rządy, jak to były ludy Zachodu przez bezwzględną centralizacyą, reakcya zatem przeciw temu systemowi u nas nie możliwą. Jest przecież pomiędzy nami niestety rozdwojenie, i to, jak to przed kilku tygodniami widzieliśmy, do zastraszających może dochodzić rozmiarów, tylko że nasze społeczeństwo, będąc zgodnem na polu politycznem, jedynie się rozpada w zapatrywaniach na polu religijnem, kiedy na Zachodzie prze-

wrotne dążności polityczne i socyalne idąc ręka w rękę z ateizmem, narody na wrogie sobie obozy rozdzierają.

Rozdwojenie to pomiędzy nami na polu religijnem jest tak ważnem, tak fatalnem w dzisiejszem zwłaszcza położeniu, że musimy poświęcić kilka uwag jego początkowi i rozwojowi, a dalej i skutkom z niego powstałym. Zasadza ono się na tem, że kiedy jedna, przeważna część narodu pozostała wierną Kościołowi, druga, mniejsza idąc w ślad za Zachodem, coraz się więcej od niego odłącza. Trudno będzie późniejszym pokoleniom pojąć ten fakt tak niezgodny z istotą naszego społeczeństwa, które z jednej strony nie szczędząc ofiar aby bronić swej narodowości, z drugiej strony sama najsilniejsze jego przedmurze podkopuje. Istotnie trzeba też było zbiegu najosobliwszych okoliczności, aby tak potworną kontradykcyą wytworzyć; będę się starał to objaśnić.

Nie wchodząc w najpierwsze początki ujmowania antikatolickich pojęć w jakiś system ogólny — bo na jednostkach które tym wyobrażeniom się oddawały nigdy nie brakło — puszczając mimo wpływ jaki w tym kierunku wywierała ateistyczna prasa emigracyjna, zatrzymajmy się przy epoce, od której datuje się obecny stan rzeczy. Jest to bez wątpienia czas wstąpienia na stolicę arcybiskupią księdza arcybiskupa L. Dygnitarz ten, obdarzony może z urodzenia nie dość wybitnem tętnem narodowem, które pewnie i przez domowe wychowanie nie było rozwijanem, wyszedłszy wcześnie ze sfer polskich, wstąpił w służbę dyplomatyczną Stolicy Apostolskiej. Rzecz naturalna że służba ta, będąc z natury swej beznarodową, nie mogła obudzić w nim uczuć patryotycznych, a gdy dodamy, że w swych misyach był wszędzie otoczonym zgrają ateistów nurtujących społeczeństwo i popychających je do rewolucyi, nic dziwnego że powziął do nich i ich robót wstręt najmocniejszy. Będąc od dawna odłączonym od kraju i społeczeństwa polskiego i słysząc może o tlejącym w nim żarze, cóż dziwnego że nie umiał rozróżnić aspiracyi naszych od tendencyi rewolucyonistów Zachodu, cóż dziwnego że może

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W POZNANIU

dał ucho podszeptom których mu zapewne nie szczędzono w Berlinie i przyszedł do nas z zupełnie nieprawdziwemi wyobrażeniami tak o społeczeństwie jak o duchowieństwie Wielkopolskiem.

Nie waham się bynajmniej słów tych i następnych wypowiedzieć, dziś, kiedy wszyscy ludzie dobrej wiary z radością widzą, że dostojny książę Kościoła przecierpiawszy tyle z nami i dla nas, a więcej od nas wszystkich, poznał bliżej to społeczeństwo i to duchowieństwo i zlał się z nami w jednę całość i wspólnie z nami lepszej oczekuje przyszłości.

Poszły zatem po sobie różne rozporządzenia, powtarzano sobie wypowiedziane przez ks. arcybiskupa zdania przy okazyi wizyt kościelnych, obiegały wieści o sposobie obejścia się z niektóremi księżmi, które do żywego obeszły społeczeństwo nasze, przyzwyczajone dotąd wcale w innych sferach widzieć usposobienie naszej narodowości przeciwne. Lecz nie była tu wina samego tylko arcybiskupa, więcej winnymi byli drudzy.

Ma nasz naród jednę właściwość, której nam się zaprzeć niepodobna; jest nią bezdenna próżność. Byle się wyróżnić od drugich, byle zdobyć jaki wyższy szczebel w towarzystwie, byle się jakiej wyższej uczepić klamki, niemasz prawie czegobyśmy nie zrobili, począwszy od popełnienia prostej śmieszności a kończąc na zapomnieniu godności osobistej. Znali nasi nieprzyjaciele z dawien dawna tę naszą słabą stronę i umieli w nią uderzać póki im o nas chodziło; dziś to ustało, nie dla tego żebyśmy się tej wady pozbyli, tylko że o nas nie dbają. Gorzkie nas z tego powodu spotykały upokorzenia, a odczuł je podobno najżywiej Słowacki, kiedy powiedział:

Polsko
... byłaś narodów pawiem i papugą!

Ta dążność posiadania dla siebie coś wyłącznego rozciąga się na wszystkie pojęcia, u niektórych nawet idzie tak daleko, że aby się z ogółu wyróżnić, chcieliby mieć dla siebie nieomal osobnego Boga, lub przynajmniej zająć naj-

wyższy stopień ołtarza, na którymby mogli, niedopuszczając zwykłych śmiertelników a sami między sobą się trzymając, choćby mieć tylko minę, że o jednę odrobinkę stoją na bliższej stopie z przedmiotem czci najwyższej. Ludzie tego usposobienia — a znaleźli się tacy pomiędzy nami, lubo ich niewątpliwie mniej w Wielkopolsce jak w innych częściach kraju — otoczyli od razu osobę księdza arcybiskupa L., starali się o to, zapewne też i zyskali jego zaufanie. Lecz wtenczas wzięli oni na siebie święty obowiązek zoryentowania go w naszych stósunkach w świetle prawdy, rozwiania uprzedzeń powstałych z złych informacyi, wzniecać wreszcie zwolna przygasłą iskrę uczucia narodowego. Niestety tego nie uczynili, owszem, sądząc z wypadków i z niezmiennego w pierwotnym kierunku występowania księdza arcybiskupa, możnaby prędzej przypuścić, że go w mylnem pojmowaniu natury naszego społeczeństwa i duchowieństwa podtrzymywali, kontenci że sami uprzywilejowane jakieś zajęli miejsce. Bądź co bądź bronili oni każdego słowa i każdego kroku ks. arcybiskupa, z których pewno wielu potrzeba było nie bronić, przeciwko też nim zwróciło się instynktowo uczucie społeczeństwa, a głos publiczny począł tych panów nazywać „ultramontanami.“ Rzecz jasna, że pomiędzy tymi bezwzględnymi obrońcami ks. arcybiskupa, a tymi co występowaniu jego przyganiali, musiało powstać starcie się, i że to coraz ostrzej występowało na powierzchnią stósunków społecznych. Poczęły się sypać ostre przymówki, oziębiały się pomiędzy wielu dawne stósunki przyjaźni a nawięzywały się nowe, rozpoczęło się złe którego trudno było przewidzieć koniec.

Niepodobna tu pominąć osobistości, która bystrością umysłu i rozumem przewyższając nieskończenie otoczenie ks. arcybiskupa, zdała się powołaną odegrać rolę pośrednika pomiędzy nim a społeczeństwem Wielkopolskiem, ile że silne uczucie patryotyczne które go wskroś przejmowało, niezawodnie mu odsłaniało popełniane w tym kierunku błędy. Jest to ś. p. ks. prałat K. Niestety, u nas jak wszędzie za dni naszych objawiła się jakaś fatalność, która zrządza, że wszystkie okoliczności i przypadki, które

się przy ludzkich sprawach i pracach zawsze wydarzają, a których nikt z góry obliczyć nie potrafi, wypadają zawsze na korzyść idei negacyi. Ks. prałat K. przy swych niezaprzeczonych zdolnościach, przy patryotyzmie najczystszym, pomimo że ostatnie 20 lat życia wyłącznie sprawie ojczystej poświęcił i to z pracą jakich się mało spotyka, był pono człowiekiem najwięcej nienawidzonym i spotwarzanym, a jednak wiem o takich, którzy ze setną ledwie częścią jego przymiotów, pracy i bezinteresownej ofiarności wyszli u nas na tak zwanych „wielkich ludzi.“ Brakło mu bowiem jednego przymiotu, bez którego żaden człowiek w stósunkach z drugimi ludźmi nic dokazać nie potrafi, tj. brakło mu tego taktu w obejściu się, który instynktowo przyciąga. Miał podobno w obejściu się, z księżmi mianowicie, coś odpychającego, zarzucano mu pychę. Tylko tem można sobie wytłómaczyć, że mąż takiego serca i głowy, zamiast na dobre wpływać, przyczynił się raczej do zajątrzenia przeciwieństwa pomiędzy ultramontanami a liberałami*), bo jak u ostatnich nic mniej nie wzbudzał jak zaufania, tak u ks. arcybiskupa widocznie żadnego nie zyskał wpływu. A jednak czyniono go za wszystko co się działo niedobrego odpowiedzialnym.

W końcu wzajemna niechęć sformułowała się, i to najpierw u liberalnych. Kilku obywateli Księstwa zajmujących po większej części wybitne stanowiska, ludzi poważanych i — kochanych, przedsięwzięło przejąć na akcye Dziennik Poznański, i uczynić go organem swych przekonań, zapewne zaś głównie w celu występowania przeciw ks. arcybiskupowi i ultramontanom. Możnaby o tem pomówić, czy wojna po dziennikach jest stósownym sposobem ścierania się pomiędzy sobą obywateli — ziemian, zwłaszcza u nas. Przecież to zawsze jest broń śliska, wysuwająca się często z rąk tego który jej chce użyć, tak że ciosy padają nieraz w stronę, w którą on ugodzić nie za-

*) Używam tu wyrazów „ultramontani i liberały“ z całą świadomością, że to są tylko wstrętne przezwiska,—a czynię to dla tego, że są dziś najłatwiej zrozumiałe. Oby na zawsze przepadły!

mierzał; cóż dopiero jeźli patronowie takiego organu siedząc na wsi zmuszeni są komu innemu powierzać kierownictwo, a pomimo tego brać na siebie cały ciężar odpowiedzialności. Zdawałoby się zatem, że dzienniki nie są odpowiedniem polem ścierania się dla obywateli w naszych stósunkach i w naszych ciasnych granicach. Natomiast jest rzeczą pewną, że postanowienie właścicieli Dziennika zawiązania się w kolo, do którego nikogo nie przypuszczają, jest błędem, i to wielkim. Najprzód, że prawda nie lęka się światła, a potem, że takie związanie się wygląda mocno na spisek przeciw własnemu społeczeństwu, lub przynajmniej na coś w rodzaju loży masońskiej. Nie można tego postanowienia tem tłomaczyć, że ci panowie, zamierzywszy sobie stworzyć organ wojujący z występowaniem księdza arcybiskupa i ultramontanów, nie chcieli aby ktoś niepowołany, wmięszawszy się pomiędzy nich psuł im szyki, bo głos powszechny był za niemi, mogli zatem występować otwarcie i nie lękać się intryg, któreby w danym razie pewno zwyciężyli. Była zatem w tej organizacyi właścicieli Dziennika od samego początku jakaś inna myśl, może tylko niektórym wtajemniczonym wiadoma, a to byłoby właśnie niemożliwem, gdyby organizacya nie wykluczała ogółu od wzięcia udziału w przedsięwzięciu mającemu właśnie temu ogółowi służyć. Że myśl taka nie mogła być dobrą, dowodem że się kryć usiłowała. Zreformowany w ten sposób Dziennik Poznański rozpoczął polemikę przeciw ks. arcybiskupowi i ultramontanom, i istotnie jak najlepsze z czasem znalazło się ku temu pole. Wybuchłe wojny w roku 1866 i 1870 dały powody do gratulacyi które wszystkich bardzo przykro dotknęły; przyszła potem podróż do Wersalu, adresy Kapituł, punkta Kościańskie itd., wszystko to Dziennik składał skrzętnie do swego arsenału jako broń nieoszacowaną na swych przeciwników. A znaleźli się w społeczeństwie tacy co otwarcie przeciw niemu wystąpili, i to nie tylko ultramontanie, ale i katolicy, gdy po wybuchnięciu kulturkampfu Dziennik wcale swego kierunku nie zmienił, czyniąc wciąż księdza arcybiskupa celem swych wycieczek, pomimo że ten mężnie sta-

nął naprzeciw rządowi i ze znaną energią bronił powierzonego mu Kościoła.

Ukazanie się Kuryera Poznańskiego w tym czasie zaznaczyło tu otwarte wystąpienie katolików przeciw dążnościom popierającym faktycznie kulturkampf rządowy. Wszczęła się odrazu ostra polemika pomiędzy obu pismami, lecz sprawa Kuryera była z góry przegrana. Skrępowany względami osobistemi musiał odrzucić jedyną tarcz od której się odbijają choćby najzręczniej wymierzone pociski, a nią jest bezwzględna prawda. Musiał bronić rzeczy, których bronić było niepodobna, bo jakżeż było bronić gratulacyi, podróży Wersalskiej, adresów Kapituł i 4 punktów Kościańskich?*) Powracał do nich Dziennik wiele razy mu się przytrafiło znajdować się w niekorzystnej pozycyi, i zawsze ze skutkiem, bo tych razów odbijać było niepodobnem, a ogół, który instynktowo czuł, po której stronie prawda, w zwykłej fantazmagoryi pojęć mięszał osobę z rzeczą i stając po stronie Dziennika, stawał mimo swej wiedzy po stronie kulturkampfu. Inteligencya nasza już tak dalece była ujeżdżona, że bez wstrętu przyjmowała zasadę Dziennika, że Kościoła bronić tylko należy ze stanowiska pisanego prawa i zasady wolności **). Było to największe zle które nas w ten sposób tylko spotkać mogło, bo obałamucone i zachwiane raz umysły tem łatwiej przejmowały się później poglądami zasadniczo katolicyzmowi przeciwnemi.

W końcu usunęli się z widowni obaj mężowie, którzy byli powodem, bodaj czy nie pretextem przetworzenia Dziennika Poznańskiego; jednego uwięziono a następnie wygnano, drugiego później Bóg zabrał. Zdawałoby się, że właściciele Dziennika powinniby byli teraz schować miecz

*) Jest rzecz dziwna, jak mało się publiczność zastanawiała nad tem, w czem właśnie leżało złe owych 4ch punktów, lubo wszyscy czuli że żądło gdzieś tkwiło. Nie były one same z siebie złe lub nie na czasie, tylko to przypieranie do muru z groźbą zupełnie niepotrzebną wszystkich oburzało, i to 4 punkta K. uwieczniło.

**) Dziennik Poznański z r. 1873, Nr 188.

do pochwy, zwłaszcza że zaczęto oprócz do kościoła katolickiego brać się na seryo do języka i szkoły, i niepodobnem było na jedno nastawać a drugiego bronić. Inaczej się przecie stało. Był to albowiem czas najwyższego rozkwitu kulturkampfu, czas o którym jeden z najzagorzalszych kulturkämpferów w sejmie powiedział, że „es war eine Lust darinn zu leben!“ Pokusa była zdaje się za wielka aby się jej oprzeć. Słyszano często głosy osób poważanych, że: „gdyby była Polska to tylko w taki sam sposób trzebaby traktować Kościół“, stronnicy Dziennika zaczęli się skromnie nazywać „narodowcy“ lubo wiedzieć musieli że narodu Polskiego z przekonaniami religijnemi Dziennika nie było i nie ma ... chybaby go przerobić?... i czemuż nie, wszak we Francyi się udało!

Wreszcie Dziennik przybił swoje tezy: kwestyą wiary zostawia, jak pisze, na uboczu jako indywidualną, niewidzialną, Kościół zaś katolicki uważa za jeden z najważniejszych czynników życia narodowego, a każdy zamach na niego za pogwałcenie wolności, z tych więc dwóch powodów będzie go przeciw kulturkampfowi bronił *). I to ma być program dla społeczeństwa katolickiego, zwłaszcza w chwili gdzie Kościół jest na śmierć zagrożonym! Więc religii nie ma się bronić jako takiej, dla niej samej, jako świętości, tylko jako czynnika życia narodowego; ale to już nie jest przecie religia. Cóżby liberalni powiedzieli, gdyby się znalazła partya któraby oświadczyła, że uważają narodowość za grunt na którym kwitnie Kościół, i że z tego stanowiska bronić jej będą. Słusznieby powiedzieli: to nie Polacy! ale niech się nie dziwią że ich samych niepodobno nazwać z analogicznych powodów katolikami; owszem, jeżeli w tym kierunku działają i na opinią publiczną wpływają, prędzej antikatolikami. A cóż dopiero znaczy zostawienie wiary na uboczu jako rzeczy wewnętrznej, indywidualnej? Przecież wiara w jednostkach tak silna, łączy takowe w jednę całość i wy-

*) Dziennik Poznański z r 1874, Nr. 185.

twarza potęgę, której nic nie dorównywa; czyż podobna pierwiastki takiej siły ignorować? Wszakże i tu można zresztą postawić tę samą analogią co wyżej, — a cóżby na to powiedziano? Jest też dla katolików rzeczą jasną, że obrona Kościoła na podstawach tez Dziennikowych jest niestósowną, i żeby mu raczej szkodziła, boby go poniżyła na stanowisko np. kwestyi wolności prasy lub wolności stowarzyszeń itp. Tak jednak chcieli mieć w czasie kulturkampfu pojmowanemi Wiarę i religią ci, których przodkowie szli pod Warnę i Wiedeń.

Rozpoczęła się zatem na dobre walka kulturna, nie powiem Polska, bo mi szkoda tego nazwiska, ale Dziennikowa, obok kulturkampfu urzędowego, podtrzymywana z jednej strony przez Dziennik i jego tyralierów, których nazwiska nie wspomnę, bo „de mortuis nil nisi bene“, z drugiej strony przez Kuryera. Lecz ten oskrzydlony zupełnie od samego początku, zmuszony bronić rzeczy które nie były do bronienia, stracił u ogółu całkiem kredyt, kiedy Dziennik przez zaczepianie osób niepopularnych zyskawszy sobie raz wziętość i przenióslszy potem zaczepki osób na samą instytucyą tj. na sam Kościół, zatrzymywał i w tej walce zyskane stanowisko. Poszedł też ogół „intelligencyi“ za Dziennikiem, i stała się rzecz pożałowania godna: inteligencya odłączyła się od narodu, ci których zadaniem i racyą bytu jest przewodniczenie ludowi w czasach ciężkich, opuścili go.

Lud pozostał jednak wiernym wierze i tradycyi. Nie tak inteligencya, która dała się wprowadzić na tory, któremi poszła Francya i Włochy. Jeźli to było zamiarem właścicieli Dziennika, to sobie mogą winszować; organ ich więcej zrobił szkody Kościołowi katolickiemu, więcej w umysłach i sercach wymorzył uczuć religijnych, niż kulturkampf rządowy.

W końcu zaczął on upadać; zwątpiał o swych siłach, widocznie czuł, jak bardzo się przerachował. Wraz z nim zaczął słabnąć i kulturkampf Dziennikowy. „Narodowcy“ jakoś przestali miłości ojczyzny sobie wyłącznie przypisy-

wać, a organ ich dobrowolnie ustąpił z offenzywy, na której się dotąd zwycięzko utrzymywał. Zadawalnia się odtąd pośrednią tylko drogą swe zasady podtrzymywać; zamilcza jeźli za granicą coś się wydarzy co podnosi dobrą sławę duchowieństwa, a pilnie zapisuje jeźli kiedy jaki ksiądz gdzieś coś złego popełni, powtarza artykuły nienawistnych Kościołowi dzienników, często fałszywe fakta podające, jak np. w ostatnim czasie o zbiorze protestanckich pastorów w Kamieniu, a przemilcza strony dodatnie. Przedewszystkiem jest zaś przyjacielem ateistycznej Rzeczypospolitej Francuskiej, tę się przez przeróżnych korespondentów społeczeństwu zalecać usiłuje, lubo ona tak mało zresztą odpowiada jego patryotycznym wyobrażeniom, a po staremu katolików za granicą Księstwa u niego nie ma, tylko klerykały i ultramontany. Mało to wprawdzie uczyni, ale zawsze coś. Temu systemowi odstrzeliwa się równie słabo Kuryer; widocznie wszyscy mają walki kulturnej dość i zadość. Oba obozy przedstawiają widok cofających się dwóch armii przed sobą; słychać tylko kiedy niekiedy strzały tylnych straży ... ale niechby się tylko co ruszyło!...

III.

Kiedy kanclerz niemiecki przed dwoma laty powiedział „das Centrum ist ein nicht zu erobernder Thurm“, to wyrzekł wielką prawdę, a słowa te jego będą z chlubą przez długie lata powtarzali katolicy niemieccy. Mógł to świadectwo im wystawić potężny mąż stanu, bo porównywając z ową basztą niezdobytą swą własną pracę, zjednoczone Niemcy, tem łatwiej mógł osądzić jej słabość i niedostatki. „Der Patriotismus erkaltet, der Separatismus nimmt überhand“ oto są słowa któremi własne dzieło osądził. Ale zkąd siła jednej a słabość drugiej, zwłaszcza przy tak nierównych zasobach liczebnych i materyalnych? Materyał przecież w obu jest równy, ten sam lud niemiecki stanowi bryły budowlane tu i tam. Oto kamienie

baszty katolików są sadzone na cement miłości Wiary i Kościoła, a dzieło zjednoczenia Niemiec na cement liberalizmu, nie uznawający ani Wiary ani Kościoła za element najsilniej ludy jednoczący, chcący się zupełnie bez nich obydź. Miało tu wystarczyć samo uczucie narodowe, bez Boga, i oto: der Patriotismus erkaltet itd. Jakżeż pozazdrościć możemy katolikom niemieckim ich baszty niezdobytej, jakaż tam jedność wszystkich warstw społeczeństwa, jaką oni czerpią z tego siłę i otuchę! A przecież moglibyśmy mieć twierdzę równie nie do zdobycia, może jeszcze silniejszą, bo tak nasz patryotyzm jak przywiązanie ludu do Wiary pewno są silniejsze jak u innych narodów — możemy to powiedzieć bez przechwałki — i moglibyśmy z całą otuchą odbijać wszelkie nań wymierzone zamachy. Zawsze gotowi na wszystkie wypadki, z spokojem ducha i z świadomością naszej siły oddawalibyśmy się pracy około naszego bytu umysłowego i materyalnego, pewni, że cokolwiek nas zaskoczy, znajdzie nas gotowych, zjednoczonych i silnych. I cóż mamy? twierdza srodze przyciśnięta, a załoga podzielona na dwa obozy stoi z bronią u nogi, gotowa przy lada okazyi jej przeciw sobie użyć. Niech ludzie rozsądni powiedzą czy przesadzam... przecież niedawno od ostatnich wieców przedwyborczych. Ale bo też od samego początku rządowego kulturkampfu całkiem inaczej tu i tam się zabierano do obrony. Podczas kiedy w prowincyi Nadreńskiej i w Westfalii cała inteligencya stanęła na czele ruchu mającego bronić Kościoła i Wiary, podczas kiedy od razu zaczęły tam płynąć obfite składki na wspieranie księży pozbawionych przez rząd sposobu utrzymania, kiedy zwoływano niezliczone wiece aby wypowiedzieć swe niezłomne trzymanie przy Wierze i Kościele, kiedy wreszcie z tych wszystkich zabiegów wyrosło owe nieprzełamane Centrum, — u nas inteligencya trzymała się nie tylko zupełnie na uboczu, ale przeciwnie, występowała ona w powyżej opisanym duchu. Żadnego słowa uznania i poparcia dla księdza arcybiskupa i Kapituł, żadnego słowa zachęty do duchowieństwa parafialnego, żadnego słowa otuchy do ludu, a cóż dopiero po-

czucia się do obowiązku wspierania księży głodzonych przez rząd, którzy do dziś dnia żyją tylko ze składek swych już nielicznych konfratrów co jeszcze coś dać mogą. Inteligencya znalazla inny sposób objawienia swego poczucia obowiązku,—inteligencya stawiała teatr, a za wentyle któremi wypuszczala zbytnią parę tworzącą się w jej wnętrzu, służyły jej owacye przy przyjmowaniu artystek i artystów. Robiono więc owacye na scenie i po za sceną, miewano natchnione mowy, wieńce, bukiety, battuty w „imieniu Wielkopolan“ podawano w entuzyazmie kaplankom i kaplanom Muz, a swoją drogą szły krocie, niezwykłą prawda industryą z bankrutującego towarzystwa wydobywane, na cel, który, jak zaręczano, miał wszystko co patryotyczne, moralne, kształcące, podnoszące ducha itd. w sobie obejmować.

Do walki pozostala z inteligencyi garstka katolików, księża i lud. Poczęto się krzątać około urządzania „wieców katolickich.“ Wieleż to napotykano przeszkód, perswazyi że takie wiece wcale są zbyteczne, wreszcie łajań, że to „grzeszna robota,“ że się wlewa „truciznę“ w społeczeństwo *). Niezawodnie w myśli agitacyi wyborczej nie miały mieć wiece katolickie tego znaczenia co nad Renem, bo u nas wybory zawszeby tak samo były wypadły, — z wiecami lub bez nich, — ale trzeba ich nam było aby zadokumentować naszą jedność w Wiarze, aby się wzajemnie widokiem tej jedności pokrzepić, aby słabym dodać męztwa, aby zresztą zagrozić chwiejącym się. Tej jedności niestety, jak to się wyżej powiedziało, nie było; zdobyto się też na jeden tylko wiec katolicki w Poznaniu, a ci co w nim brali udział, mogą powiedzieć czy był zbytni, lub czy lał „truciznę“ w społeczeństwo.

Temi to drogami doszliśmy tam, gdzie się obecnie znajdujemy; mamy zatem z jednej strony nieliczny zastęp katolików, duchowieństwo i lud, z drugiej strony

*) Dziennik Poznański z r. 1876, d. 3 września.

liberałów reprezentowanych przez naszę inteligencyą en masse. Już przy każdej okazyi, gdzie potrzeba jakąś osobistość postawić na miejscu wydatniejszem, rozpoczyna się współzawodnictwo obu stron aby swego kandydata na tem miejscu usadzić, cóż dopiero przy wyborach na sejmy! Tu już agitacya przestaje być rzeczą ambicyi pojedyńczych stronnictw, bo dla katolików staje się ona obowiązkiem. Lud bowiem który jest na wskroś katolickim a stanowi przeważną część narodu, ma prawo mieć takich reprezentantów mających w jego imieniu mówić i działać, jakim jest sam, bo jednolitość posla z narodem uważam za kryteryum, którego zbijać w praktyce niepodobna nie mijając się z prawdą. Nic tu nie pomoże że liberały powiedzą, iż tak samo będą bronić Wiary i Kościoła jak ultramontanie, bo oni tylko go bronić mogą ze stanowiska swego programu tj. ze stanowiska Wolności, pisanego prawa i jako czynnika politycznego, a nie jest to zaprawdę stanowisko odpowiednie dla pełnomocników ludu katolickiego. Według zasad i ducha Kościoła bronić go nie mogą, boby znów się mijali z prawdą wewnętrzną, z głosem własnego sumienia, działanie ich w tym kierunku ograniczałoby się też tylko na obręb Księstwa, kiedy sympatye ludu katolickiego sięgają, jako takiego, tak daleko jak sięga Kościół. Wiem że poruszam tu wykrzykniki o „wdzieraniu się w sumienia, o inkwizycyi, o torturach“ itd., lecz i tu stawiam stanowczo twierdzenie, że jeźli nie wolno się wdzierać w sumienia ludzi prywatnych, działających tylko we własnem imieniu, to obowiązkiem jest spytać się tak tych co występują jako nauczyciele ludu, co chcą kierować opinią, jak tych którzy w imieniu ludu mają przemawiać i działać, w co oni sami wierzą, dokąd dążą i zmierzają, i dokąd chcą prowadzić.

Z tych stósunków wynika, że w czasie wyborów obóz katolicki wchodzi w bardzo trudne położenie. Nasza inteligencya przeszła w większej nierównie części do obozu liberalnego i pojmuje Kościół katolicki na zasadzie ten obóz cechującej, tj. właśnie antikatolickiej, liczba za-

tem tych, którzy się na kandydatów katolickich nadają, jest dość ograniczona. Przychodzi zatem często do tego, że katolicy nie mając innego kandydata, stawiają księdza, bo lubo się wszyscy na to godzą, a przedewszystkiem sami księża, że arena polityczna nie jest dla stanu duchownego dobrą ani właściwą, to jednak wolą widzieć księdza deputowanym, jak osobistości przekonań niekatolickich, niezgodnych z przekonaniem ludu. Ztąd gniewy i ostre przymówki o intrygi ultramontańskie, o spiskowanie księży itd., lubo raczej największe uznanie by im się należało, że lubo prześladowani, dotąd nie pomyśleli wprost apelować do tych, którym się z natury rzeczy rozstrzygnięcie tych sporów by należało. Zato nad obozem przeciwnym unosi się w powietrzu jakaś melodya przypominająca mocno nutę, na jaką nam grano już raz przed 20 laty, — zdaje się nawet że to może i ci sami muzykanci.....

Lecz dość tych obrazów wstrętnych, wszyscy je znamy aż zadość, ja je tylko przypominam. Ale pomyślmy tylko coby to było, gdyby ktoś, jakiś prawdziwy nasz przyjaciel do nas zapukał i spytał się o nasze życzenia, o nasze aspiracye co do naszego stanowiska, urządzenia, wzięcia udziału ... jestem przekonany że nicby się od nas z tego wszystkiego nie dowiedział, niczegoby się z nami nie dogadał. Jeźlibyśmy zaś mieli być komuś użyteczni lub potrzebni, zadysponowałby nami po prostu nie trudząc się dalej poszukiwaniem naszego mniemania.

IV.

Jedność zatem powinna być naszym celem, naszym hasłem. Niechaj to nikomu nie odejmuje nadziei i odwagi, że to hasło już od dawna, a zawsze nadaremnie

było u nas wzywane, bo ojcowie nasi żyli wśród rozlicznych okoliczności, mieli wiele przeszkód, które im do jedności dojść nie dozwalały. My tylko dziś mamy jednę jedyną, która rozdziera wprawdzie społeczeństwo całego ucywilizowanego świata, ale która też u nas całkiem inne ma znaczenie; jest to kwestya religijna. Kiedy bowiem nowożytna cywilizacya położyła sobie za zadanie Boga zupełnie usunąć ze szkoły i od wszystkich spraw ludzkich wyłączyć, u nas Go jeszcze nigdy nie podawano w wątpliwość, tylko Jego kultowi zaprzeczają dziś że jest celem samym przez się, starają się go zniżyć do poziomu środka, lub co najwięcej zostawiają mu tylko znaczenie uczucia indywidualnego. A leży to w naturze naszego narodu, bo znana to i często powtarzana przez ludzi wszystkich stronnictw rzecz, że ostatecznie okaże się zawsze daremną pracą chcieć z Polaka zrobić liberała w dzisiejszem tego słowa znaczeniu. Aby bowiem chcieć Boga od spraw tego świata wykluczać, trzeba mieć ową szaloną nienawiść przeciw religii, o której była już powyżej mowa, a takich ludzi u nas bardzo — bardzo mało. Więcej jest takich, którzy tej nienawiści nie znając, nie mają przecież uczucia katolickiego i nie żyją podług zasad Kościoła; ci, jeźli są obdarzeni przymiotami rozumu i umysłu, mogą się wznosić po nad przesądy i uprzedzenia, i jasno i sprawiedliwie pojmować znaczenie Kościoła dla ludzkości i narodu, a nawet stać się jego chlubą, lubo nie są z nim jednolitymi. Do tego rodzaju należał np. Marcinkowski, a przecież błogosławiona jest jego pamięć pomiędzy nami! Ludzie tacy nie są nigdy szkodliwi, bo będąc w zgodzie z samym sobą, nie robią propagandy. Daleko przecież jest więcej takich, którzy miernemi zasobami uposażeni, wykolejeni z życia i pojęć katolickich przez system obecny edukacyjny, dawszy się zepchnąć z toru pewnego Wiary, pływają po bezbrzeżnych przestworzach, jakie tworzą wyobrażenia religijne nieokreślone przepisami Kościoła. Ludzie tacy zmieniają i zmieniać muszą co chwila swe przekonania, — sami w skutku tego niespokojni niepokoją drugich, i tworzy się ów zamęt po-

jęć, owa chwiejność i niepewność przekonań, w pośród których niepodobieństwem prawie jest rozpoznać rzeczywistego stanu rzeczy, dążności ogółu, bo już prawie żadna jednostka nie jest samej sobie w tym względzie jasną. W takim stanie rzeczy, przy tym zupełnym braku wielkich zasad i przekonań, wystarczy każda zręczna manipulacya, każdy sztucznie wywołany impuls, każde umiejętne popchnięcie w pewnym kierunku aby pociągnąć za sobą masy, jednem słowem jest to czas królestwa dziennikarskiego, a panuje ono obecnie nie tylko u nas, ale na całym świecie, i po temu się też na nim dzieje.

Starałem się powyżej opisać, jak powstało i jakiemi torami poszło u nas dziennikarstwo jako wyraz obu u nas istniejących obozów, a teraz dodam, że właśnie powstanie dwóch takich dzienników obok siebie jest początkiem wszystkiego złego, a ich dalsze istnienie jest czy będzie jego uwiecznieniem. Ludzie różniący się przekonaniami politycznemi i religijnemi mogą bardzo dobrze ze sobą żyć, nawet przyjaźnić się, póki te ich przekonania nie zostaną wywieszone jako godła gromadzące około siebie zwolenników, wtenczas bowiem stawają się one głównym warunkiem dobrych lub złych stósunków, przyjaźni lub niechęci w społeczeństwie; wszystkie inne względy idą na bok. To właśnie czynią dzienniki. Tworzą się na około każdego zrazu grupy, potem całe obozy, zrazu tylko może niechętnie na siebie patrzące; rozpoczyna się pomiędzy obiema organami z początku lekka polemika, ta się z czasem zaostrza, biorą w niej udział oba obozy i coraz więcej się wraz z ową polemiką przeciw sobie zapalają, aż w końcu wyradza się otwarta nienawiść. Jest bowiem w naturze człowieka jakiś instynkt brutalny, że jak tylko widzi kogoś stojącego pod bronią a przybierającego junacką postawę, to chociaż nawet wie że tu nie o niego chodzi, to on jednak przyjmuje wyzwanie jakby do niego wystósowane i rozpoczyna walkę o której wcale zrazu nie marzył. Cóż dopiero jeźli widzi że ta wyzywająca postawa ma wprost jego na myśli czy jego zasady; wtenczas chwy-

tają za broń już nie tylko zapaleńsi, ale nawet i chłodne głowy, a walka zrazu instynktowo tylko rozpoczęta staje się coraz zacieklejszą, bez końca. Jest to właśnie nasz obecny stan. Zazdrościmy Kongresówce i przypisujemy jej to za wielką mądrość i cnotę, że nie posiada partyi i obozów jak my; bądźmy przekonani, że niechby tylko została obdarzona wolnością prasy jak my, to bardzo prędko by się ta zgoda, ten powód zazdrości zakończył; a przecież jednak ci sami ludzie byliby tam po zaprowadzeniu tej wolności co byli przedtem. Z tych niezaprzeczonych faktów wyprowadzam jak na dziś następne wnioski dla nas:

1. Powinniśmy mieć jeden tylko g ł ó w n y dziennik, jako organ i wyraz przekonań, dążności i kierunku p r z e w a ż n e j części narodu.

2. Naród polski jest na wskroś katolicki, takim zatem powinien być i jego organ; spokojny, nie wyzywający, ale w rzeczach Wiary mocno stojący przy zasadach Kościoła.

Nie podlega wątpliwości, że taki jeden organ nie zadowolniłby wszystkich tych, co zajmują skrajne stanowisko po tej lub owej stronie, lecz i te stanowiska mogą sobie stworzyć organa ich wymaganiom odpowiadające; będą to mniejsze pisma bez wpływu na ogół i jako takie nie wywołujące ogólnego zamięszania i niezgody. Było można wprawdzie dawniej spotykać się z zdaniem, że potrzebne są d w a główne organa, aby opinije się ś c i e r a ł y! Dziś już rzadko takie czysto doktrynerskie zapatrywanie się usłyszy, bo wszyscy już mamy tego ś c i e r a n i a s i ę dość i zawiele, i przekonaliśmy się, że to nie jest ścieranie się, jak raczej r o z d z i e r a n i e s p ó ł e c z e ń s t w a.

Te oto uwagi poważam się przedłożyć rozwadze, przedewszystkiem właścicieli Dziennika Poznańskiego i Kuryera, a potem wszystkim ludziom dobrej woli. Pierwsi stanęli z własnego impulsu na czele dwóch w sprzecznych kierunkach działających dążności i stali się

choć mimowolnie,—bo nie znajdzie się pewnie nikt z pomiędzy ludzi dobrej wiary coby o tem wątpił,—powodem rozbicia się społeczeństwa na dwa obozy z wielkim uszczerbkiem sprawy narodowej. Tak jak uczciwe bez wątpienia zamiary powodowały ich do tego kroku, tak teraz, kiedy nie korzystne skutki tegoż widocznie im samym i społeczeństwu stanęły przed oczyma, niech znów zjednoczą pod jeden sztandar to co się rozbiło, niech go swemi szanowanemi i szanownemi osobami wesprą, a z radością pospieszy pod niego ogół dobrze myślących, i stanie twierdza nie do zdobycia.

Aby cel ten osięgnąć, starałem się stan nasz obecny przedstawić tak jak go pojmuję, tj. jako głośno wołający o rychłą zmianę na lepsze. Starałem się też objaśnić okoliczności i drogi które nas do tego stanu doprowadziły, bo to mi się zdawało potrzebnem, jeźli o szukaniu sposobów zaradzenia złemu miała być mowa, a tu prawie wyłącznie zwracałem się przeciw stronnictwu Dziennika, bo bądź co bądź ono zaczęło szerzyć publicznie pojęcia religii nowe, a Wiarę na stanowisko dotąd u nas nie bywałe, tradycyi narodowej wręcz przeciwne poniżać i tem samem nowy obóz tworzyć, a to w chwili, gdzie jedność była głównym warunkiem i potrzebą; kiedy znów obozowi Kuryera głównie przyszło mi zarzucać sposób obrony sprawy, którą uważam za moją. Padły może przy tem na obie strony słowa zbyt śmiałe; przepraszam za nie pokornie a szczerze. Umysłom męzkim przystoją szczerość i otwartość, przyjmą one bez wstrętu takie słowa jeżeli uczują, że obce im były arogancya lub zarozumienie.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W POZNANIU